Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 7. Sierpnia 1881 r. Tom XII.

# TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 32.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
**W KSIĘGARNI POLSKIEJ**
*plac Halicki L. 14.*
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

## NAWRÓCONA

NOWELA ZORJANA.

Było dziewczątko małe, hoże i rumiane. Kibić i cała jej figurka była składna, zwinna, żwawa. Buzię miała białą, uśmiechającą się koralowemi usteczkami, oczęta śliczne, migotliwe, czarne, główkę otaczał bujny, miękki, włos ciemny.

Nazywali ją Musią.

Była córką rodziców ubogich, wyrobników. Mieszkali w małej, ciemnej izdebce, żyjąc tem co Bóg dał i co można było zarobić pracą rąk, a mieli tylko jedno dziecię, ładniutką Musię. Musia dostała na chrzcie święte jakieś imię i tem dziecinę małą zwali rodzice, ale kiedy dziewczę zaczęło podrastać i biegać po izdebce, po sieni, a w lecie po podwórku, nazwali ją sąsiedzi Muszką, Musią.

Bo też wyglądała, nieustannie krzątając się i skacząc po ciemnej izdebce, istotnie, jak złotoskrzydlna, swawolnie brzęcząca muszka. Nie usiadła na miejscu chwilę spokojnie, wszędzie jej było pełno, wszędzie miły jej głosik, szczebiotem swym przerywał dość zwykłą w ubogim domku ciszę. Ledwie na chwilę się uciszyło, a znów wesoły śmiech małej swawolnicy rozlegał się w niskim przedsionku i już wbiegła do pokoju. A śmiała się tak serdecznie, tak jakoś wdzięczyć się umiała, tak miłe, wesołe, wabiące miała oko, że niepodobna było oprzeć się jej urokowi i dziewczę małe było panią serc wszystkich, kochali ją mieszkańcy małego, przedmiejskiego dworku.

Kochali ją wszyscy. Kochali rodzice, kochali sąsiedzi i sąsiadki, kochali dalsi znajomi i chłopcy, co zwykli uganiać po ulicach i nie mają względów dla małych towarzyszek igraszek dziecięcych, lubili ją, mimowiednie poddawali się władzy małej królowej, znosząc jej kaprysy i służąc jej. Kochali ją wszyscy, i dla tego ładna Musia z czarnemi oczkami była zawsze czyściutko odziana, umyta i zaczesana; zawsze dla niej znalazła się jakaś kryska koronkowa, lub haftowana, nie brakło ładnych, lśniących koralików i paciorków, nie brakło pewno nigdy i łakotek słodkich.

Kochali ją wszyscy i zwali swoją złotą Musią.

Miłość tę odpłacała Musia milutkiem spojrzeniem, wesołym szczebiotem, była jak wszyscy mówili, grzeczną, nie płakała, bo zawsze uśmiechem swym, umiała sobie zdobyć to, czegoby pewno płacz nie zdołał.

Dzień po dniu upływały tygodnie, tydzień po tygodniu miesiące i lata. Musia rosła lubiona, kochana, rosła i była zawsze ładna i miła. Kończyła lat ośm, posłano ją do szkółki, aby jak inne dzieci sąsiadów czegoś się nauczyła. Musia nie zaniedbała nigdy szkoły, ani na godzinę, a spieszyła zawsze wesoła, uśmiechnięta. W szkole, jak w domu lubili ją wszyscy. Lubiła ją nauczycielka, lubił ksiądz katecheta i dzieci wesołą dziewczynkę lubiły. Ksiądz przyniósł czasem cukierki, dawał ładne obrazki, piękną książeczkę do nabożeństwa, nauczycielka dała misternie haftowaną kryzkę, całowała swą uczennicę w gładkie liczka i wybaczała nie jedno uchybienie, nie jedno zaniedbanie nauki. Bo Musia, choć z uśmiechem szła do szkoły, nie posiedziała w domu i chwilki nad książką. Rodzice nie nagabywali jej o to, bo i sami nie wiedzieli, czy w domu także trzeba się było uczyć i nie mieli czasu. Ojciec chodził w lecie na ciesielkę, w zimie rąbał drwa, matka, albo pracowała w domu, albo co częściej się zdarzało, wychodziła na cały dzień do prania lub innej roboty. A dziecina swawolna biegała po domu nie zaglądając wcale do książki i zeszytów, ale nauczycielka i katecheta wybaczali, bo Musia miała ładne, śmiejące się oczy, bo na dziecięcych jagodach jaśniała niewinność.

Tak płynęły lata szkolne. Musia, choć nie wiele przykładała się do książki, że była dzieckiem rozsądnem, rozgarniętem i jasny rozumek naturalny świecił na jej czole, nauczyła się przecież przez lat kilka czegoś. Umiała czytać dobrze, pisała również niezgorzej, od biedy potrafiła i coś uszyć lub wyhaftować, ale tego nie lubiła i tak jakoś umiała się zawsze wywinąć gładko, że trudno ją było zobaczyć z igłą w ręku. Z tem wszystkiem, mówiły sąsiadki, że Musia to mądra dziewczyna i niezawodnie zrobi szczęście. Wierzyły w to mocno i powtarzały dziewczęciu zawsze:

— Ty Musiu będziesz jeszcze kiedyś panią, wielką panią.

A Musia śmiała się, ale już nie tak serdecznie, jak przed laty pięciu, lub sześciu, bo w uśmiechu jej przebijał teraz ten rozumek, o którym sąsiadki nagadać się nie mogły, uśmiechała się jakoś filuternie, a oczka jej mrugały już dzisiaj zalotnie.

Musia miała lat trzynaście.

Matka kochała ją bardzo i choć musiała ciężko na utrzymanie domu pracować, nie oddała córki między obcych, aby sobie sama już coś zarabiała. Nie chciała się z swą dzieciną rozstać, choć czasby już był wielki aby dziewczyna gdzie poszła do szycia, boć się przecież czegoś uczyła nie na to, aby siedzieć w domu i próżnować. Ale matka wolała sama zamierać wśród pracy, a nie oddałaby swej jedynaczki między »cudzych ludzi na służbę«. A i ojciec, gdy powrócił, po całodziennej pracy, rad był widzieć dziecko koło siebie, i choć Musia była już rosła

dziewczyna, brał ją na kolana i głaskał jej miękkie długie włosy i wyciągał z skórzanej, starej kalety, krwawo zapracowanych kilka groszy i dawał córce na fraszki. Potem zsadzał zwolna z kolan i nic nie mówiąc szedł spać, bo praca całodzienna wyczerpywała siły. Było to wszystko, czem mogła się miłość ojca objawić. Pracował gorzko na kilka groszy i dawał córce, aby biorąc je niezapracowanie, wiedziała, że ma ojca, który ją kocha i dla niej pracuje.

Ojciec spał już twardo, a matka pokrzątawszy się jeszcze w domu, pościeliwszy jaknajwygodniej, mówiła:

— Pójdźno spać, Musiu. — I w małym przedmiejskim dworku było cicho, spokojnie aż do dnia następnego.

Życie płynęło zwolna, jednostajnie. Musia była co dnia jednakową i czy nudziła się? Nie wiadomo, nigdy i słówkiem nie wypowiedziała tego. Była zawsze wesoła, ucieszna.

Aż raz niedola przerwała jednostajność ich życia. Matka coś zaniemogła, poleżała kilka dni, przejęczała kilka nocy, bo choroba przyniosła dotkliwe boleści.

Do małego okienka zapukała jakaś mara, zabłysnęła srebrzystą kosą, zaświeciła pruchnianemi oczyma, kiwnęła kościanym palcem, machnęła szkieletową ręką i znikła. Jakiś wiatr zdawał się przelatać izbę, a słonko na dworze chyba zapadło, bo twarz matki pobladła, zmartwiała i na łóżku zesztywniałe pozostały zwłoki.

Musia widziała płaczące sąsiadki, słyszała jak mówiły: umarła nieboga, widziała, jak ojciec westchnął jakoś ciężko, otarł oczy rękawem, słyszała żale głośne i liczne objawy litości, wiedziała, że matka umarła, ale oko jej było suche, ani jedna łza nie potoczyła się po jej świeżych, rumianych jagodach. Tylko spojrzenie jakoś stało się smutniejsze, tylko twarz zwolna zbladła. Ojciec wyniósł z domu ostatni przyodziewek do zastawu, aby trumnę kupić i świec parę i po uczciwości księdza poprosić. Poczciwe sąsiadki tymczasem krzątały się koło nieboszczki. Wkrótce ubrały ją w co miała najlepszego, stół długi przykryły białem prześcieradłem i złożyły na nim zmarłą. Włożyły w złożone ręce krzyżyk i obrazek, zaświeciły dwie świece u głowy i uklękły zmówić »wieczne odpoczywanie.«

Musia patrzyła na to wszystko, a że sąsiadki uklękły, uklękła obok nich i ona, gdy one się modliły głośno, ona spuściła oczy ku ziemi, a usta jej były nieruchome, nie szeptały ponoś modlitwy.

Pierwszy to raz pewno od urodzenia była Musia milczącą. Siedziała w małej izdebce na stołeczku pod oknem, nie mówiąc do nikogo nic a nic. Sąsiadki dziwiły się dla czego dziewczyna nie zanosi się od szlochania, dla czego lamentem głośnym nie żałuje swej matki. Dziwiły się i pojąć tego nie mogły, bo to było jakoś niezwykłe, inne sieroty tak nie robiły.

Tak minęły dwa dni.

Musia stała w kącie i suchem okiem patrzyła na wszystko co się w pokoju działo. I widziała księdza jak kropił święconą wodą po raz ostatni zwłoki, słyszała jego niezrozumiałe dla niej łacińskie modły i śpiewy, słyszała ochrypły głos wtórującego kościelnego, słyszała cały chór sąsiadów i sąsiadek. Patrzyła jak trumnę nakrywali wiekiem, o jej uszy odbił się łoskot zabijanych gwoździ, a oko jej było suche, z piersi nie wydobył się ani jeden żałosny ton. Szła zwolna za trumną, trzymając się ręki ojca, aż do grobu. Przyklękła, gdy inni klęczeli, żegnała się, gdy inni znakiem krzyża rozpoczynali modlitwę za spokój duszy. Tylko, gdy grudy ziemi rzucanej, głuchem echem odbiły się o wieko trumny, zajaśniało w oku dziewczyny coś niby łza. Tak to była łza. Powoli zaperliła się wyraźniejsza, osiadła na rzęsie długiej i po chwili już jej nie było, znikła, a oko było znowu suche.

Mogiła już usypana, a uczestnicy pogrzebu skończyli modlitwy; kumoszki, sąsiadki i przyjaciółki zmarłej, usunęły się trochę na bok i cichem szeptem poczęły mówić o nieboszczce. Najpierw ją żałowały i mówiły cicho, potem przypominały sobie jej życie głos nieco podnosząc i tak gadu, gadu na dobre nicowały jej pamięć, gwarząc już dość głośno, nie poszanowały ani ziemi święconej, ani uczciwej sławy.

Musia stała jeszcze nad grobem, bo ojciec stał, a ona trzymała go za rękę. Teraz zbliżyła się do nich podeszła już kobieta. Była ubrana skromnie, zupełnie czarno, w ręku trzymała książkę do nabożeństwa, a jednak na twarzy skromności nie było widać; nie widzieli jej przynajmniej ci, co umieli wpatrzeć się w jej krogólcze oczy, zeszpecone starością, czy burzliwem życiem. Włos siwo-żółty spadający głęboko na czoło nie czynił twarzy piękniejszą.

Za jej zbliżeniem, ocknęli się z zadumy nasi znajomi. Ojciec ucałował jej rękę, Musia poszła za jego przykładem.

— Nie smućcie się Wojciechu, nie smućcie, widać Panu Bogu tak się podobało, że zabrał wam waszą kobietę, a kiedy, już taka Jego wola święta, to cóż robić.

Wojciech pokłonił się jeszcze raz pani Wilkoskiej, bo to jej było nazwisko i z westchnieniem odpowiedział.

— Ta już proszę pani nic nie mówię, skoro taka przenajświętsza wola, żal bo mi kobiety, to prawda, ale teraz jeszcze większy kłopot z dzieckiem; ot, tem się frasuję.

— A prawda, że nie dalibyście sobie rady z dziewczęciem, na niepewne oddać gdzie do służby, to także nie dobrze. No, nie troszczcie się ino, ja lubiłam waszą żonę, bo służyła u mnie dawniej poczciwie i waszą małę także kocham, a nie radabym sama, ażeby się zmarnowała. Właśnie myślałam o niej i wezmę ją tymczasem do siebie, a jak upatrzę kogoś, coby zajął się nią poczciwie, to jakoś już to zrobimy.

— Bóg zapłać pani, a to człowiekowi jakoś markotno rozstawać się z dzieckiem — mówił smutnie.

— Alboż to ja ją wyniosę gdzie za światy? Przecież będzie u mnie, jak u Boga za drzwiami, a od was nie daleko — zawołała prędko pani Wilkoska.

— Ta, co już robić, kiedy pani łaskawa na nas, to nie mogę się sprzeciwiać.

Musia słuchała całej rozmowy. Znała ona panią Wilkoską oddawna, bo chodziła do niej nieraz z nieboszczką matką, lubiła ją dość, bo zwykle dostawała cukierki i ładne drobne fraszki. Gdy więc ta teraz zapytała się, czy pójdzie do niej, odpowiedziała:

— Pójdę.

Puściła rękę ojca, a ujęła podaną sobie dłoń pani Wilkoskiej, u jej boku idąc opuszczała wrota cmentarne. Ojciec szedł za nimi. Był smutny i patrzył z żalem na córkę, którą mu zabierała z łaski pani Wilkoska. Wiedział, że to łaska dla niego, łaska dla córki, a jednak było mu jakoś przykro, markotno, tęskno za ukochaną Musią.

Przyszli pod dom, w którym mieszkała pani Wilkoska, w którym odtąd miała zamieszkać Musia. Wojciech pocałował swą dobrodziejkę w rękę, córkę przytulił niezgrabnie do twardej swej piersi i na pożegnanie powiedział tylko: »bądź zdrowa.«

Ona pocałowała ojca w rękę i także nie umiała nic więcej powiedzieć jak:

— Ja tam do tata kiedy przyjdę.

Wojciech poszedł dalej, powrócił do pustej swej izdebki, w której czuć było jeszcze woń kościelnego kadzidła. Przyszedł, usiadł samotny na ławce, zadumał się głęboko, podparł głowę twardą zapracowaną dłonią, po której gorąca potoczyła się łza.

Ojciec siedział w samotnej, ciemnej izbie, a Musia nie powróciła już do niej. Ona w tym samym czasie, siedziała także milcząca przy stoliku u pani Wilkoskiej i — jadła słodkie, wonne cukierki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

# Turysta - pedagog

wspomnienie trzech wycieczek w kołomyjskie góry

podał

*Marceli Turkawski.*

Jak świat światem — nikt nie może w zaraniu życia odgadnąć, jaka go przyszłość czeka, co mu łaskawa Opatrzność wyznaczy, i którędy nim rzuci po drodze żywota?... Niedocieczone bowiem na zawsze będą dla nas maluczkich stworzeń wszech świata, wyższe zrządzenia Stwórcy, kierującego od zmierzchłych czasów mądrze losami i ogółu i jednostek. To też w uznaniu tej odwiecznej a niezmiennej prawdy, poddajemy się z pokorą bezwzględnym Jego wyrokom, silnie przekonani, że jakiekolwiekby one były, są zawsze dla nas najlepsze, a więc konieczne do przyjęcia... bo tak być musiało — i basta!...

Jeżeli (jako niedowiarek w tym względzie) uwierzę kiedyś w *przeznaczenie*, co już w kolebce zakreśla dziecięciu dalszą kolej bytu i całą jego przyszłość na tym ziemskim padole — go-

tówem przypuścić bezwarunkowo, iż we wszechwiedzącej, przemądrej księdze ludzkich losów wpisano moje skromniutkie imię, oczywiście z dodatkiem nazwiska, do potężnej listy *turystów*. Nie przemawia tu z nas jakowaś zarozumiałość, jak nie widzielibyśmy w tem nic tak strasznego, gdyby to istotnie nastąpiło, — wszak gotowiśmy w tej księdze spotkać zapisanym każdego Anglika, którego przynajmniej dzisiaj wyobrażamy sobie jako skazanego od urodzenia na okropną prawie syzyfową karę: włóczenia się dla »*spleenu*« po całym świecie! Ale w czem leży powód tego niedowierzania w nasze siły żywotne? Oto w pewności poniekąd, że to nieomylne *fatum* okropnie sobie zadrwiło wyborem ciężkiego i powolnego wygodnisia - pedagoga w osobie podpisanego.. na podobne mniej więcej indywiduum, coby to z niedoścignionemi wiatrami idąc w zawody, obiegało niebotyczne góry, tłukło się po twardych skałach, skakało przez rowy, parowy, czeluście i tym podobne nieszczęścia, — coby płukało, myło, a nawet kąpało się w zimnej, jak lód, wodzie rzek górskich. spało na trawie połonińskiej lub w jakichś tam kołybach i szałasach góralskich, przypominających zewnętrznym kształtem i wewnętrznym porządkiem nasze rodzinne stajnie i kurniki; na domiar zaś tysiącznych kłopotów i niewygód, mało jadło i nic nie piło, oprócz pospolitej wody!... To przecież okropne! Ale... stało się! Pokładając pełną ufność do szan. czytelnika lub czytelniczki, że ani nie zrazi się tak nie korzystną charakterystyką piszącego, ani wobec znajomych i szerszej publiczności nie zdradzi tego, kogo w niniejszym pisarzu miał lub miała zaszczyt poznać, wyznajemy publicznie i otwarcie z głęboką skruchą w duszy, że wbrew prawdopodobnie fatalnemu przeznaczeniu nie czuliśmy *Anno Domini* 1877 w sobie najmniejszego powołania do arcytrudnego turystowstwa, że dopiero w początkach następnego roku (ach!.. roku, zasługującego na ozłocenie, choćby świąteczną pozłótką!!) nasz pedagogicznie usposobiony organizm doznał na Pokuciu pomyślnego przekształcenia, a to skutkiem wstrząśnięcia wewnętrznego, którego powód spoczywał w niewidzialnym nań wpływie... „czarownych oczek bogdanki"! Dotąd niewinne (dalipan, że tak!) serce spokojnego geografo-historyka książkowego, zapragnęło ni ztąd, ni z owąd nieznanych mu przedtem rozkoszy idealnych, słodkich marzeń na wolnem, swobodnem powietrzu gór, dziwnie wzdychało i dążyło do przywdziania na się poetyckiej natury w miejsce trywialnej prozy... Do podobnej metamorfozy najlepiej nadały się śliczne *góry Pokucia*, szczególnie ta tylekroć w huculskich pieśniach ośpiewana *Czarnohora*, te nasze niby ponure, w rzeczywistości ponętne *Beskidy lesiste*. One to były niemymi i wiernymi świadkami owego sławetnego dramatu, począwszy od zawiązania naszego czułego stosunku, dalszego zawikłania węzła krytycznego, aż do końcowego rozwiązania tragedji pokuckiej, z której dzięki tylko boskim wpływom górskiej *aury* — nasz bohater (turysta-pedagog) wyszedł zwycięzko, w prawdzie nie dosłownie, bo właśnie rozstał się (może „na wieki") z prozaicznemi rozkoszami... małżeńskiemi, ale zwycięstwo odniósł w obronie *idei* swobody kawalerskiej i *turystowstwa*, a nadto nie poległ, lecz żyje... i obecnie nawet... pisze. To sztuka — jak mówią — i kawałek! Własne otóż doświadczenie, okupione srodze towarzyszącemi takim wypadkom burzami, na szczęście bez ulewy, upoważnia nas jako praktyka do mentorstwa i podania bezpłatnej rady tym wszystkim, którzy w podobnej nam znajdą się kolizji — a więc uczują: najpierw pragnienie zakazanej (w biblji św.) świeckiej miłości bez gorzkich jej owoców, potem podmuch i powiew olimpijski w swej poziomej duszy, wreszcie znajdą się osamotnionymi, z goryczą na ustach i niechęcią w zawiedzionem sercu — Takim radzimy, aby zamiast przeklinać bez potrzeby ten piękny świat i dwunożne jego zaludnienie obojga płci, zamiast porzucając wszelkie skarby i „deficyta" naszej ziemi, zamykać się w odludne miejsca i ciche przybytki klasztoru — rzucili się natomiast z zapałem silnej woli w ojczyste góry, nasze Karpaty, tę siedzibę swobody i poezji!... Ukołysani ich cudami, zachwyceni wonną. dziewiczą przyrodą, która zbolałej piersi i skrzepłemu sercu użyczy ożywczego na rany balsamu... *Turyści* zapomną z pewnością o niemiłej przeszłości, bo obraz gigantycznych potęg i wrażenia przy ich oglądaniu zatrą chwilowe ułudy, choćby najkwaśniejszych cór Ewy...

Po całorocznym pobycie opodal Wawelu, zkąd w koleżeńskiem kole młodych osób podejmowało się nieraz krótkie wycieczki do pamiątkowych miejsc (nakazywał to patrjotyzm), a mimo tak pomyślnej sposobności należenia do tatrzańskich turystów — opuściliśmy te lube okolice, aby w dalekich, nieznanych osiąść stronach na Pokuciu. Jego stolica, mająca wiele wspólnego z Berdyczowem i... Pacanowem, zasługiwałaby na oddzielny rysunek w niniejszej tece opisowej, a to ze względu na tutejsze oryginalne stosunki społeczne i tę odrębną prowincjonalność, jakiej naprożno szukalibyśmy w takiej doskonałości wkorzenionej n. p. na Podolu, Wołyniu lub gdzie indziej. Jednak do podobnego szkicu potrzebaby jaskrawej kredki lub pstrobujnej barwy, których obecnie nie mamy w zapasie. Wystarczy powiedzieć, że Kolomyja sięgająca dziejami aż w ciemne czasy książąt ruskich i węgierskiego Kolomana, wysunięta jakby umyślnie tak daleko na Wschód, nosi do dzisiaj niezatarte niczem piętno „orjentalizmu". Zarówno objawia się ten orjentalizm na typowych twarzach ormiańskich, żydowskich i mięszanej rasy, t. j. na twarzach śniadych, jak również na charakterystyce miasta i sposobie budowania domów, a po bliższej obserwacji — na charakterze i przymiotach większości mieszkańców. Towarzyskie pożycie pomięszanych i różnolitych warstw kołomyjskiego społeczeństwa, przedstawia dziwną grę ogólnego usposobienia: serdeczność z sztuczną najszkaradniejszem samolubstwem i pustem plotkarstwem połączoną. Na wspólnych zebraniach jednoczą się te tysiączne odłamy „miejskiego światka", bez względu na stopień ród, pochodzenie, wyznanie, rangę pensyą, dochód, dystynkcję i t. d., w harmonijną na pozór całość. Każdy bowiem z bezinteresownym uśmiechem słodyczy na ustach wita i ściska swego przyjaciela i nieprzyjaciela, aby go za chwilę „potężnie" wyśmiać i „setnie" obgadać. Miód na zewnątrz publiki tutejszej mieści w sobie truciznę, której się powszechnie tu używa w wrogiej walce „na języki". Taki palny, ale niewybuchający, materjał prowincjalnej wesołości i płaskiego humoru, dał się z korzyścią zużytkować w stowarzyszeniach, których, jak „grzybów po deszczu" namnożyło się tam bardzo wiele za naszej pamięci.

Skorzystali owoż z tego usposobienia ogółu pokuckiego, ochoczego nowości, delegaci Towarzystwa Tatrzańskiego. Zaczęli żywo agitować za związaniem oddziału, zbierać powoli „ochotników," i „Strohmanów", aż po kilkumiesięcznej sprzeczce **pro et contra** nowemu stowarzyszeniu, powstało za inicjatywą pp. Wajgla, Gregorowicza, Hankiewicza i ś. p. Witwickiego — *Czarnohorskie* kółko turystowskie w lutym r. 1878. Jużto każdy bezstronny spostrzegacz kołomyjski z owego czasu, odda należną sprawiedliwość zasługom powyższych mężów, którym wobec panujących wówczas danych, udało się prawdziwego dokazać cudu: stworzenia świeżego towarzystwa, mającego przeważnie naukowość na celu, — i to tam, gdzie o tak poważnej rzeczy ani mowy być nie mogło. Do wawrzynu kolegi Wajgla dołączam ze swojej strony osobny liść za to, że mnie wtedy zachęcił do przystąpienia do nowego kółka turystów, a w następstwie wraz z godnością obranego *sekretarza* oddziału czarnohorskiego Towarz. Tatrzańskiego, podał mi sposobność do rozwinięcia owych ukrytych zasobów, o których dotąd sam nie wiedziałem, a przynajmniej o nich zapomniałem »*od kopy lat*«!...

Nowe odtąd „życie Dantejskie" wstępuje w nasze ciało pedagogicznie-ciężkie. Dawne, już przyćmione chwile porywu do bezcelowej wędrówki, wznawiają się w odmiennej postaci z zamysłem śmiałym, aby za pomocą nowego stowarzyszenia działać dodatnio na zepsuty smak publiczności miejscowej, odrywając ją od czczych i lekkich projekcików i planików, kierować ku poważnym i szczytnym przedmiotom: *poznania rodzinnej ziemi i miłości huculskiego ludu*, nad którym już krwawą opiekę roztoczyło prasławne świętojurstwo. Najpomyślniej wypadł skład Zarządu oddziałowego, do którego weszły same postępowe i prawych zasad siły, znawcy miejscowych i okolicznych stosunków, siły co w zgodnem współdziałaniu i wpływie na dotyczące sfery, widziały pewną rękojmię ustalenia bytu Towarzystwa, i lepszej przyszłości Pokucia...

Błędna zasada Machiawela twierdzi, że „cel uświęca środki". Szkodliwa w wysokiej polityce, da się praktycznie użyć ta teorja w zastósowaniu do niższej polityki mieszczańskiej... Sztandarem garstki prozelitów turystowskich był niestety »*cap*«, to widzialne godło obrane przez nowy Zarząd dla czarnohorskiej filii, na obraz i podobieństwo »*kozła*« tatrzańskiej macierzy; — a środkami i podporą tego sztandaru (w każdym razie fatalnego) miały być: rozruszenie i zachęta Pokucian do zwiedzania stron i okolic nad Prutem i Czeremoszem, w dodatku szlichtada, popularne odczyty, a w końcu (ukryta w zanadrzu projektowiczów) walna *wystawa*...

Dla dopięcia utajonych celów, każdy z nas »*Czarnohorców*« (taką mniej więcej otrzymaliśmy od rzeczypospolitej kołomyjskiej nazwę), zabiera się do działania w swoich znajomych kółkach, i w samem mieście i po za miastem. Ten silnemi argumentami bije w twardą »*łepetę*« tatka, tamten podsuwa się dobitnie do pojętniejszej głowy mamy, ów znowu z przymileniem grucha czule do córki, a wszystko z ukrytym zamiarem pozyskania tej rodziny dla interesów towarzystwa. Ile w tej sprawie było zawodów, bezużytecznych walk i sterania zdrowia, — nie dałoby się spisać i „*na wołowej skórze*«. Dobrze atoli mówi przysłowie: Czas wszystko może, bo czas ma... czas." To też z czasem upadły partykularne do nas uprzedzenia; te syste-

*

matyczne „umizgi“ i „szturmy“ do serc i kies Pokucian odniosły wreszcie walne zwycięstwo, przypominające mimowolnie wygraną Tarnowskiego bitwę pod Obertynem... Koniec końców, liczba członków oddziałowych wzrosła w trójnasób, a „Czarnohorcy“ zajęli wybitne na Pokuciu stanowisko!

— Ba, ale jak się to stało? — niepotrzebnie zapyta jakiś ciekawy szczegółów dowcipniś.

— Zaraz, zaraz, (odpowiadam) już przystępuję do rzeczy. Niech ta mała poniżej sylwetka, zdjęta (nie bez drżenia sercowego) z rzeczywistości pokuckiej, starczy za naszą odpowiedź!...

Jednym dotychczas zamkniętym dla „gogów i facetów“ domem na przedmieściu kołomyjskiem był państwa XXów (nie wypada wymieniać nazwisk, choćby ze względu na łacińskie »*nomina sunt odiosa*«). Tam pod „argusowem“ okiem rodziców chował się śliczny aniołek w postaci dziewicy o jasnych „puklach warkoczy“, bieluchnej cerze, klasycznych rysach twarzy i zgrabnej kibici. Tak skończonemu ideałowi ziemskiemu chciejmy nadać imię zwyczajne *Ewy*, dla szczególnego szacunku, winnego naszej pra... pra... pra... matce. Nieszczęśliwy fatalizm (jużto bez niego się nie obejdzie) chciał, że sam rodzic piwnookiej córy,*) nieprzystępny i ciągle zachmurzony, połamany i gwałtowny, był powszechnie w nadpruckiej „Abderze“ znienawidzonym. — Przypuszczamy prawdopodobieństwo, iż miał coś z finansowością austrjacką (ministrem skarbu nie był, to wiemy) do czynienia, a takich »*cuszlagów*« pośrednich i bezpośrednich podatków nienawidzi zawsze skąpy dla budżetu „szerszej ojczyzny“ świat galicyjski. I nie dziw. Drobnostka to wobec tego, czego mu darować nie mogliśmy, że był zapalczywym nieprzyjacielem wszelkich towarzystw (prócz karciarskiego), a w szczególności *Czarnohorskiego*, prawiąc nieustannie: „Ej, dalibyście sobie spokój z temi towarzystwami, wycieczkami, odczytami itd., szkoda czasu, taj atłasu!“

Na takie *dictum* stanowcze każdyby się zraził raz na zawsze, splunął po rusku na odpędzenie „biesa“ lub „nieczystej siły,“ przeżegnał się pokornie i unikał tego dziwaka. Ale serce pedagoga turysty, a zarazem sekretarza obrażonego przezeń towarzystwa, serce — rozbudzone wspomnieniami „Katarzyny,“ „Sylwestra“ i t. p. z tańcami wieczorków w kasynie, inaczej mu mówiło o zdaniu mamy i córki, które obiedwie uchodziły (podówczas) za bezwzględne kontrasty „pana domu.“

A więc szas,.. pras,... wizyta elegancka,... pogadanki, żarciki, przechadzki, zabawy... i niebawem dwie dusze żeńskie pozyskane dla siebie i dla „Czarnohorców“!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Z HEINE'GO.

Jak możesz spać spokojnie,
Choć wiesz że dotąd żyję?
Niech dawny gniew powróci,
Wnet jarzmo me rozbije.

Czy znasz o zmarłym chłopcu
Baśń, jak on raz, północą
Kochankę z sobą zabrał
I skrył w swój grób przemocą?

O wierzaj mi przecudny,
Uroczy mój aniele,
Żem żyw i żem silniejszy
Niż zmarłych niewiem wiele.

*St. Rossowski.*

*) Pozwoliliśmy tu sobie niezgrabnego naśladowania Homerowskiego słowa «*sowo-oka* Athena»

## Kronika Tygodniowa.

Nowy gmach sejmowy, zajęty już został przez bióra Wydziału krajowego i jakkolwiek mówiono wiele o jego obszerności, pokazało się, że zbytku miejsca nie ma. Przy rozprawach sejmowych o budowie tego gmachu, jakoteż i później narzekano na zbytek, którego sobie pozwala Galicja wznosząc tak kosztowny lokal dla władz autonomicznych, lecz dziś, kiedy już wszystko skończone, w myśli zwiedzającego rodzi się uczucie dumy narodowej, na widok tak okazałego gmachu, który nie ma wątpliwości, jest pierwszym tego rodzaju na całej ziemi polskiej gmachem publicznym. Tak to wszystko fundamentalnie na wieczne czasy zbudowane, z zachowaniem wszelkich udogodnień, jakie obecny postęp nauki budowniczej zdobył na świecie. Trzeba przyznać, że my Polacy przez czas tylu wiekowej samodzielności naszej, nie bardzo troszczyliśmy się o stawianie pomnikowych budowli publicznego użytku. Warszawa, chociaż przez długie lata stolica kraju, dopiero za czasów Poniatowskiego zaczęła się upiększać publicznemi gmachami, a głównie dopiero w czasach królestwa kongresowego wzniesiono teatr, ratusz, gmach Banku polskiego i komisji skarbu, obserwatorjum, albowiem inne pałace na pomieszczenie władz rządowych, zakupiono od osób prywatnych. W Krakowie prócz dawnych Kazimierzowskich i Jagielońskich gmachów, w ostatnie wieki nic nowego nie przybyło; ofiarność prywatna siliła się stawiać kościoły i klasztory, a gmachy publiczne u nas prawie że nie istniały. Jednem słowem, Polacy nie kochali się w takich rzeczach, dlatego też dumni być powinniśmy, że Galicja i Lwów wystąpiły pierwsze, aby tę krzywdę dziejową naprawić. Nie tak zbyt dawno cieszymy się, i to w skromnych granicach, samorządem krajowym, jednak już te pierwsze kroki samodzielności pięknie zaznaczyliśmy, stawiając gmach, za który przed potomnością wstydzić się nie potrzebujemy, tembardziej, że postawiliśmy go prawie z oszczędzonego grosza publicznego niewielkim stosunkowo kosztem i bez przeciążenia kraju. Podług dopełnionego obrachunku, cała budowa ta nie dotknie kontrybuenta płacącego podatki więcej nad 20 ct. od guldena podatku rządowego, co zdaje się nie może ani zrujnować, ani nadwerężyć budżetu krajowego. Co bądź się stanie z nami, i jaką przyszłość gotują losy Polsce, gmach zostanie gmachem i własnością narodową — zatem kapitał ulokowany pewnie i wieczyście. Jeden może zrobilibyśmy zarzut komitetowi, że za wiele poświęcił miejsca dla ubikacji sejmu, nie dla tego, że ich jest za wiele, lecz że ten sejm zaledwie raz do roku i to przez krótki czas funkcjonuje. Lecz i to po bliższem rozpatrzeniu da się w inny sposób zużytkować, a co Lwów i kraj zyskał — to będzie dla potomności majątkiem publicznym.

Prócz tego faktu ukończenia pomnikowego gmachu, w kochanem miasteczku naszem pustki, duszno, nudno i tak woniejąco, że nietylko płuca, ale i nosy, nasze błogosławić mogą prześwietną radę miejską, będącą dla nich macochą. Pokazuje się, że jeszcze nie doroślismy do samorządu miejskiego, i nie rozumiemy zadania, jakie mieć powinna stolica sześciomilionowego kraju.... Nie zawsze bezwzględna oszczędność jest zasługą, choćby idąc za przysłowiem, że skąpy dwa razy traci. Ot przypatrzmy się Krakowowi, do którego czujemy zawsze pewną, że tak powiem, prostaczkowatą ansę. Tam zarząd miasta wybornie rozumie swoje położenie, i raz po razu stara się jakby to mieszkańcom przysporzyć dochodu. Podnosi więc rozmaite uroczystości i zjazdy, zaprasza, ugaszcza, daje zachętę, zgromadza dzieła sztuki, ściele gniazdo umiejętności, popiera, proteguje, aby wciąż dawać impuls życia, którego owoce dojrzewają z dniem każdym, miastu zaś dostarczają zarobek. U nas we Lwowie, od czasu ostatniej wystawy wszystko spi; ludzie inicjatywy, zdaje się, że wymarli, a jeżeli który bądź mąż wielki, z tej martwoty się ocknie, to na to, żeby narobić pełno swarów, i pobawić się w opozycję dla sparaliżowania najlepszych intencyj.... Już to prawdą jest, co o nas mówią, że Polacy wtedy są czynni i energiczni, kiedy im bieda siedzi na karku. Lwów zostawszy stolicą kraju, przez nagromadzenie władz, które jako tako ożywiają miasto, dając mu zarobek, odzwyczaił się od wszelkiej inicjatywy, spożywając sumiennie te stoliczne synekury. Przez głowę nie przejdzie pomyśleć, co by się to stało, gdyby tak niespodzianie wyniesiono ztąd stolicę... Pytam się, czemby Lwów został? Więc kiedy jest sposobność, kiedy coraz więcej zaludnia się miasto i urzędów przybywa, czy nie wypadałoby pomyśleć o utrwaleniu podstaw bytu i pomyślności, przez samodzielny rozwój handlu, przemysłu, sztuk lub zakładów, któreby rzeczywiście uczyniły go prawdziwem sercem kraju, a nie miejscem koncentracji władz i instytucji z niemi powiązanych. Grodzie Lwa, ocknij się i daj znak życia i więcej samodzielnej pracy! Nie jęcz i nie narzekaj na złe czasy, ale wspomniawszy przeszłość swoją, stań się nie nominalnym, ale żywym pulsem życia krajowego. Stwórz ludzi, jeżeli ich nie masz, wyszukaj, zachęć, trochę zaryzykuj, a nie będziesz potrzebował spoglądać z zawiścią na Kraków, który z dnia na dzień krząta się coraz energiczniej, i zdobywając takie stanowisko, z którem i ty sam i kraj cały nie zadługo na serjo liczyć się będziecie musieli.

## Doświadczenia dra Ochorowicza.

*(Dokończenie).*

Przystąpiłem do najważniejszego doświadczenia z *katalepsją* i *tężcem* mięśniowym, naturalnie nie mówiąc nic uśpionej, co chcę robić; owszem, starałem się różnemi próbami z jej ręką utrudnić domysł.

Dla wywołania katalepsji użyłem poruszeń magicznych, jakich używają magnetyzerowie, a polegających głównie na wytężonem wstrząsaniu dłońmi przed ramieniem doświadczanem.

W jednej chwili ręka, którą podtrzymywałem w położeniu odmiennem niż to czynił p. Donato, zaczęła sztywnieć, ale słabo. Zatrzymywała położenie nadane, ale chwilowo tylko. Nacisk palcem wywarty na mięśnie, którego z powodzeniem używał prof. Heidenhein, tu nie wydał żadnego rezultatu; natomiast po powtórzeniu manipulacji magnetyzerów, ręka wyprężyła się, palce wygięły się ku górze i przez ciąg kilkunastu sekund tężec był zupełnym.

Ręka pozostała stale w pozycji nadanej, była twardą jak drzewo, chłodniejszą niż zwykle, palce nie dały się zginać, puls był bardzo szybki ale tak drobny, że chwilami tylko jako drżenie dawał się domacać.

Ta okoliczność tłumaczy sprzeczną opinję dwu lekarzy, którzy podczas przedstawienia badali puls p. Lucylli, i z których jeden oświadczył, że pulsu nie ma, drugi zaś, że jest bardzo szybki.

Doświadczenia takie robiłem już dawniej we wspomnionych dwu obserwacjach (*Bed. d. Bew.* str. 68 i 69); w jednej z nich, przed uśpieniem puls uderzał 64; przy zaczęciu ruchów podskoczył do 104; przy zasypianiu spadał zwolna do 68, a podczas katalepsji wzrósł znowu do 96 uderzeń na minutę.

Nie mogę jednak sądzić, czy taki przebieg jest typowym, za mało bowiem mam pod ręką notatek.

Ręka stetanizowana, czyli znajdująca się w tężcu zupełnym, przedstawia odporność i martwotę niesłychaną.

Obecnie tej próby nie powtarzałem, ale robiłem ją dawniej wspólnie z drem K. Zagórskim: we dwu zginając rękę wątłej dziewczyny, nie mogliśmy zgięcia dokonać. Skóra jest przytem nieczułą na wszelkie bodźce, nie wyłączając najsilniejszych. Tak samo przy katalepsji mięśni twarzowych, wszelkie odruchy giną — ani drażnienie gałki ocznej, ani błon śluzowych nosa nie wywołują żadnych odruchów.

W innym wypadku (na znanej somnambulistce Hersylji, która jednak bawiła się także i oszukiwaniem łatwowiernych) sprawdziłem, że niespodziewane lekkie kłócie szpilką szyi i piersi także nie wywołało odruchów — natomiast bardzo często wywoływałem u pewnego chłopca ból fikcyjny, zapewniając go, że kłuję albo parzę jego ciało, chociaż nic podobnego nie miało miejsca.

Ale najciekawszem i doprawdy najcudowniejszem zjawiskiem stanu hipnotycznego jest owa łatwość, z jaką katalepsja może być wywołaną i usuniętą.

Chcąc pannie Lucylli przywrócić władzę w ręce, potrzebowałem tylko wykonać kilka łagodnych ruchów poprzecznych, jak gdybym ją z kurzu otrzepywał; w jednej chwili ramię zaczęło wolnieć, palce prostowały się i miękły, wreszcie ręka opadła całkiem swobodna i ożywiona jak zwykle.

Wspomniałem wyżej, że robiąc te próby nie mówiłem nic o intencji, a mimo to zjawiska żądane występowały; zdawałoby się, że taka ostrożność wystarcza do uwierzenia, że działanie jest tutaj bezpośrednie, fizyczne, nie zaś przez pośrednictwo imaginacji.

Tak jednak nie jest.

Uśpiona doskonale czuje ruchy mojej ręki i gdy one przybiorą formę używaną do wywołania katalepsji, w myśli jej budzi się automatycznie wyobrażenie stanu, którego już nieraz doświadczała, i to wyobrażenie niewątpliwie wpływa na przejaw zjawiska; podobnie jak wyobrażenie jedzenia może sprowadzić wydzielenie śliny, jak wyobrażenie ziewnięcia może sprowadzić ziewanie i t. p.

Nie mam jednak dostatecznych danych do orzeczenia, czy wpływ ten jest jedynym, a nawet czy jest niezbędnym.

Pozostałe próby, jak to zresztą z góry przewidywałem — nie udały się.

Ani rozkaz woli bez gestów, ani próby czytania w myśli nie doprowadziły do żadnego rezultatu. W ogóle też i objawy przyciągania ręką, chociaż sprawdzone, były znacznie słabsze niż gdy ją magnetyzował p. Donato, który czyniąc to od lat sześciu, zrobił ze swego medjum cudownie posłuszny instrument. Każdy gest jego rozumie ona wówczas, gdy nikt inny nie mógłby się domyślić o co chodzi — i jakkolwiek doświadczenia, jakie wykonywa publicznie są w tym kierunku więcej sztuką wyuczone niż samoistne, ale niemniej przeto zasługują na uwagę, ponieważ dotyczą tak zwanej „edukacji somnambulicznej“ i nie są pospolitem kuglarstwem.

Pod koniec doświadczeń, chciałem jeszcze sprawdzić twierdzenie dra Guyomara, jakoby w somnambulizmie dawał się w mózgu słyszeć szmer charakterystyczny, który w stanie zwykłym występuje około serca i łączy się z odgłosem jego uderzeń.

Przyłożyłem ucho do skroni p. Lucylli, nie słyszałem jednak nic takiego, coby to podejrzane odkrycie potwierdzić mogło.

Nakoniec wypada mi wspomnieć o operacji budzenia. P. Donato, który w ogóle wszelkie manipulacje magnetyczne sprowadził do minimum, budzi swoją pacjentkę prostem dmuchnięciem w oczy. Uczyniłem toż samo, ale bez skutku...

Rysy twarzy drgnęły, stan głębokiego snu przeszedł widocznie w stan odurzenia, jakie obserwujemy przy początku hipnotyzowania, ale ciało pozostało nieruchome i bezwładne. Gesta poprzeczne odśrodkowe przed twarzą, zalecane przez innych magnetyzerów, pozostały także bez skutku — dopiero drugie silne dmuchnięcie wprost w oczy, rozbudziło ją. Twarz powlekła się lekkim rumieńcem, oczy przetarte ręką, przybrały zwykły swój wyraz limfatyczny i pacjentka moja wstała, nie umiejąc nic odpowiedzieć na pytanie, co się z nią działo.

Przypisek.

Artykuł powyższy napisałem przed dwoma tygodniami natychmiast po doświadczeniach z p. Lucyllą, a to dla tego, ażeby nie zatrzeć w pamięci różnych szczegółów, które później mógłbym mimowolnie pomięszać. Od tego czasu udało mi się rozstrzygnąć kilka wątpliwości, przy pomocy moich słuchaczów uniwersyteckich, których wezwałem do doświadczeń nad hipnotyzmem. Rezultatem ich było przedewszystkiem to, że zarzuciłem hipnotyzm a zabrałem się do magnetyzowania, które daje rezultaty o wiele ciekawsze i pozostawia magnetyzerowi zupełną władzę nad zmianami fizjologicznemi pacjenta. Nadto nie zmusza oczu na długotrwałe patrzenie w blizki punkt, co łatwo może spowodować zapalenie tkanki łącznej.

Z 10 osób wyłącznie mężczyzn, których dotychczas magnetyzowałem, 4 nie przedstawiło żadnych lub prawie żadnych objawów, a 6 osób dało zjawiska mniej lub więcej wybitne, od drganek nerwowych i utraty samodzielności, aż do zupełnego uśpienia, anestezji i hiperestezji, katalepsji i tężca.

U jednego nawet objawy są tak zdumiewające, że przewyższają w niektórych punktach produkcje p. Donato i panny Lucylli.

Katalepsja mianowicie u p. R., słuchacza filozofji, jest znacznie większą niż u p. Lucilli, podczas bowiem gdy u niej, jak słusznie zauważył kolega Rejchman i co już we Lwowie stwierdziłem, ręka stetanizowana zaczyna opadać po upływie 10—12 minut, u p. R. tężec trwał bez zmiany przez 3 kwadranse, a prawdopodobnie mógłby trwać znacznie dłużej.

Nieczułość jest tak absolutna, że ani kłócie, ani amoniak przybliżony do nosa, ani najsilniejsze z używanych prądy indukcyjne nie wywołują czucia, które pomimo to w ciągu jednej minuty mogę przywrócić i napowrót sparaliżować...

P. Lucylla zapytywana przezemnie, czy nie czuje bolu po obudzeniu, odpowiedziała mi że nie, gdyż jak się wyraziła: „wyleczenie rany następuje w okamgnieniu“ (la guérison s'opére instantanément).

Odpowiedź tę uważałem stanowczo za fanfaronadę; prof. Heidenhein twierdzi też, że ból ten silniej daje się czuć po obudzeniu; i o ile się zdaje tak jest w hipnotyzmie, to znaczy w odurzeniu przez wytężenie zmysłu.

Ale oto com stwierdził na p. R.

Przy pierwszem magnetyzowaniu czuł dotykanie szpilki, ale nie czuł bolu; po obudzeniu ból powstawał. Przy drugiem magnetyzowaniu niektóre ukłócia pamiętał jako dotyk, innych nie. Przy czwartem nie pamiętał ani ukłócia, ani dotykania i po obudzeniu nie wiedział nawet żem go kłół, chociaż szpilkę wepchnąłem głębiej niż poprzednio.

Zatem wierzę w prawdę słów p. Lucylli.

Jeszcze jedna rzecz zdumiewająca: pomimo długich i forsownych doświadczeń nad katalepsją i tężcem, np. podczas leżenia na brzegach dwu krzeseł itp., p. R. nie czuje żadnego zmęczenia, podczas gdy ja, którego rola ogranicza się do kilku gestów, czuję się formalnie osłabionym.

Wiem, że to com powyżej wypisał, obudzi niewiarę w niejednym czytelniku, i nie dziwię się temu, ponieważ sam wielu z tych twierdzeń nie uznawałem jeszcze w zeszłym tygodniu.

W takich kwestjach wiary żądać nawet nie można — można tylko żądać sprawdzenia.

*
* *

---

# KORESPONDENCJA.

*Praga w r. 1881*

Do prowincyj polskich wysłano depesze, że dopiero teatr we wrześniu otworzą z powodu jego niedokończenia, a w Pradze się zaczęła namiętna polemika między organami obudwóch stronnictw. O formie i sposobie polemik czeskiego dziennikarstwa nie ma nikt pojęcia, kto podobnych artykułów na własne nie widział oczy.

Powody, które teatralny komitet do takiego postępowania nakłoniły, mogą być ze stanowiska utylitarnej polityki bardzo rozumne, nie wątpimy, lecz nie godziło się przecież, jak *Narodni Listy*

słusznie pisały, wodzić tak ludu czeskiego jak zagranicznych gości za nos aż na tydzień przed ostatecznym terminem. Lata całe czekał ten biedny lud czeski na chrzest swego wychowańca a gdy go w końcu ochrzczono, pominięto ojca, zapraszając na uroczystość samych dostojników, strojnych w ordery i bogate mundury, z których prawdopodobnie nie wielu do wybudowania czeskiego teatru się przyczyniło. Zawód ten zrobił nadzwyczaj niemiłe, przygnębiające wrażenie i zniechęcił czeski lud do teatru. Piszący te słowa przybył na jedno z późniejszych przedstawień dopiero po połowie dramatu, a przecież dostał jeszcze wstępny bilet i byłby ich więcej mógł kupić, co wcale za głoszonym systematycznie zapałem nie przemawia.

Otwarcie teatru odbyło się dnia 11. czerwca, na uczczenie przybycia do Pragi arcyksięcia Rudolfa i sympatycznej jego młodziuchnej małżonki, arcyksiężnej Stefanii. Tu i owdzie zawołała gromadka ludzi „slawa!“, gdy zajechały dworskie powozy, zresztą odbyła się rzecz przyzwoicie i poważnie, jak tego komitet teatralny pragnął. Odśpiewano austrjacki i belgijski hymn, a potem nową operę Smetany „Libuszę,“ napisaną umyślnie na dzień otwarcia nowego teatru. Nie zamknięto jednak teatru, po tem „galowem“ przedstawieniu, lecz grano jeszcze kilkanaście razy tak powyżej wymienioną operę, jak tragedję „Lipany,“ również na cel ten napisaną, i starszego Kollara dramat „Smirzyccy.“ Ponieważ się w gorących miesiącach lata zwykle wielkie teatra zamyka, zawrą się niebawem i bramy czeskiego widowiska, aby się na sezon zimowy we wrześniu powtórnie otworzyły. W czasie tym obiecał komitet teatralny urządzić narodową uroczystość, lecz nie będzie to już uroczystość otwarcia, bo przecież niepraktykowana to rzecz, aby cośkolwiek dwa razy po raz pierwszy otwierano. Chyba to jasne.

Co zaś do teatru, jest on rzeczywiście tak na zewnątrz jak wewnątrz wspaniałą budową. Samo przepiękne położenie nad brzegami Wełtawy podnosi urok gmachu, widnego zdala złoconą kopułą. Wewnętrzne urządzenie, dekoracje, kostiumy, maszynerja, słowem wszystko co się do budynku teatralnego odnosi, dostrojono do zewnętrznych rozmiarów. Lecz to, co się na scenie dzieje, potrzebuje starannego dopełnienia i ociosania. Dramat jest kwiatem literatury pięknej, jest owocem zupełnie dojrzałego społeczeństwa; dzisiejszych Czechów nie możemy jeszcze dla wielu przyczyn skończonym narodem nazwać. Są oni wprawdzie kulturą od nas starsi, lecz dziedziców tej starożytnej cywilizacji musielibyśmy chyba w grobach, lub na obcej ziemi szukać. Nie zapominajmy nigdy, że dzisiejsi Czesi są zupełnie nowym, świeżym narodem, który wyrasta na mogile tych, co dawno przeminęli. Nikt nie nazwie nowoczesnych Włochów lub Greków prawowitymi dziedzicami Hellady lub Romy, choć się nad nimi to samo rozpina niebo, i to samo słońce ich ogrzewa. Myliłby się, ktoby myślał, że dzisiejsze Czechy idą z czysto słowiańskiej krwi. Dość przejrzeć nazwiska prowodyrów, aby się przekonać, ile tam obcych pierwiastków. Wszystkie te czynniki muszą się dopiero przetrawić, aby z nich całości, odrębny wykwitł naród. Proces ten odbywa się oczywiście bardzo szybko, bo Czesi są dziś Słowianami sercem, wolą, przekonaniami, więc otrząsną się w krótkim czasie z obcych pierwiastków, które widzimy dotąd w towarzyskiem życiu i w pojęciach towarzyskich. Z wymienionych powodów nie mogą mieć Czesi dotąd swego narodowego dramatu. Wprawdzie twierdzą oni inaczej, lecz mimo to zostanie prawda prawdą. Przecież i my Polacy, choć rozwijaliśmy się normalnie, nie ustając w pracy, nie mamy dotąd dramatu, zaczynając dopiero od społecznej komedji. Przecież i Niemcy, nauczyciele historycznej Czechji, nie mogą się, krom Szylerem i Kleistem, żadnym większego znaczenia dramaturgiem poszczycić! Nie będzie więc hańbą, gdy się do niedostatku przyznamy; owszem, mamy przed sobą jeszcze szerokie niezorane pole, które nas do dalszej pracy pobudza.

O salonowej komedji nie może być dotąd w Czechach żadnej mowy, mianowicie z tego powodu, że salonowy komedjopisarz potrzebuje salonu, którego dotąd w Czechach jeszcze nie ma. Nie ma tu wcale towarzyskiego życia, bo kawiarnia i restauracja wystarcza Czechom dotąd. Komedjopisarze też czescy nie mają pojęcia, jak się przyzwoity djalog prowadzi, nie mówiąc już wcale o samowolnem przekraczaniu przepisów towarzyskich.

To samo dałoby się powiedzieć także o aktorach. Słusznie pisał Jan Neruda, znakomity feljetonista „Narodnich Listów“, że czeska scena nie ma dotąd swych narodowych aktorów. Są to wszystko odbitki innych, zwłaszcza niemieckich scen. Z rozkwitem dramatu powstanie oczywiście i osobna czeska aktorska szkoła, jak wszędzie. Miejmy nadzieję, że nowy teatr rozkwit dramatycznej czeskiej sztuki przyspieszy. Dramatyczni aktorowie Czescy grają bardzo słabo, a na domiar trzymają się pewnego szablonu o patetycznych ruchach, przypominających poruszenia marjonetek. W deklamacji siłą się na przesadę, tak, iż np. aktor, odtwarzający szekspirowską rolę, wychodzi już z pierwszego aktu spocony jak mysz. W przesadnym tym, hałaśliwym tonie zostaje przez cały dramat, nie cieniując nigdzie. Wyjąwszy panie: Sklenarzową i Bittnerową, z panów: Seiferta i Slukowa, nie zasługuje reszta aktorów wcale na wzmiankę. Komedja salonowa jest na czeskiej scenie niemożliwa. Ludzie ci nie umieją chodzić i ruszać się w salonie, co bardzo naturalne, bo żaden z nich w życiu swojem salonu nie widział. Kto widział polskie i francuzkie sceny, na tym robi salonowa komedja, na czeskiej scenie odegrana, komiczne wrażenie. Najlepiej udają się tu sztuki ludowe i bluetki grubszego kalibru.

Lecz za to mają Czesi operę, z którą się nie każda porównać może. Co Czech, to muzyk, jak wiemy. I rzeczywiście jest prawie każdy śpiewak dobrym śpiewakiem. Panie: Sitowa, Ehrenbergowa, Fibichowa, panowie: Lew, Wawra, Czech i t. d. nie zrobiliby żadnej scenie wstydu. Komplet opery wytrzymuje wszelką krytykę, tak samo orkiestra, zwłaszcza w nowym teatrze. Opera jest chlubą Czechów, i zasługuje rzeczywiście na miano wyborowej. Jedno tylko moglibyśmy śpiewakom i śpiewaczkom czeskim zarzucić, oto, że są zamało dramatycznymi śpiewakami, lecz błąd ten można w operze przeoczyć. I znakomitych kompozytorów mają Czesi. Nazwiska: Smetany i Dworzaka są powszechnie znane. Wokoło tych swoich mistrzów grupuje się cały szereg mniejszych kompozytorów. Z muzykalną Czechią nie może się muzykalna Polska żadną miarą porównywać. Nie pozostaje nam zatem w końcu, jak życzyć Czechom, aby się w nowym teatrze i dramat czeski w jak najkrótszym czasie do wysokości czeskiej opery dostroił.

*T. J. C.*

---

## Z WYSTAWY DZIEŁ SZTUKI.

*(Ciąg dalszy.)*

Wojciech Kossak przysłał dwa obrazy, dające najdokładniejsze wyobrażenie o jego pędzlu i wprowadzające nas zaraz w sam środek rodzaju kompozycji, której się prawie wyłącznie oddaje. Są to: „Manewra pod Sądową Wisznią“ i „Manewra pod Krakowem“. W obu wiele podobieństwa, wynikającego z zbliżenia tematu, a jednak oba zajmujące, bogate w szczegóły, różne ugrupowaniem, pokrewne życiem tryskającem z każdej twarzy, z każdej postaci. Co do kompozycji, to główuie na to zwracamy uwagę, że artysta lubuje się w myśli jasnej, świeżej, szuka życia kipiącego, ruchu i że się tak wyrażę pogody. Ztąd też zapewne przeobleka swe kreacje w barwiste mundury, zapełnia ramy rączemi końmi, wprowadza wszystko w gwar obozowy — lecz bez sceny wojennej, bez grozy i bolu. Manewra, to temat najdogodniejszy do rozwinięcia takich planów. Wszystko ochocze, ruchliwe, zapał w oku idzie w parze z dziarskimi harcami, konie rącze zapalają się do biegu,—a lęku, któryby mógł zasępić czoło, ani śladu. Pogodę kompozycji podnosi wielce tło malowane również jasno, przejrzysto tak, że zdaje się możnaby okiem sięgnąć w nieskończoność, odetchnąć powietrzem pełną piersią, użyć swobody w całem tego wyrazu znaczeniu. Zaleta to wielka. Jeśli dodamy, że postacie wszystkie modelują się doskonale, że nigdzie nie zauważyliśmy ścisku, tak wiele jest wszędzie przestrzeni, tak koń jeden odstaje od drugiego, taki ład panuje w grupach poszczególnych i w całym obrazie — a będziemy mieli wyobrażenie o dziełach młodego artysty. Na tej drodze rokujemy wiele korzyści dla sztuki, którą artysta pojmuje serjo, oddaje jej się z zapałem, a przedewszystkiem zaleca się sumiennością w opracowaniu.

Bardzo zbliżony pod względem tematu jest „Atak draganów“ Begga, a jeśli go porównamy z poprzedniemi dziełami, najlepiej wykaże się różnica pod każdym względem. Pułk dragonów pędzi z podniesionymi pałaszami wprost na widza, przyczem zaraz uwidocznia się pewien ścisk mogący łatwo pomięszać szyki. Malowanie poszczególnych postaci wiele pozostawia do życzenia, za mało tam kontrastu między stroną świetlaną, a ocienioną, za mało może ożywienia niektórych linij, a ztąd właśnie pochodzi to, cośmy nazwali ściskiem. W obrazach tego rodzaju głównie na to trzeba zwracać uwagę, ażeby szczegóły wypracowywać dobrze, gdyż tym tylko sposobem uzyskać można jasność i przestronność. W „Ataku“ postacie za mało od siebie odstają, zbyt często o siebie się ocierają. W ogóle potrzebaby trochę więcej świeżości w kolorycie i lepszego modelowania figur.

Słabszą jeszcze kompozycją jest „Stefan Czarniecki“. Najpierw przypomina za nadto kreacje Juljusza Kossaka, tak co do układu,

jakoteż kolorytu, a już Stefana Czarnieckiego, tegoż artysty aż nadto. Sądząc po zaletach pędzla, staranności, jaka podnosi prace p. B., można mieć nadzieję, że otrzęśnie się z wad, dziś jeszcze zbyt rażących. Obrazy jego są jakieś chłodne, a my właśnie chcielibyśmy trochę więcej życia, samodzielności, wyemancypowania się. Niech artysta więcej idzie za popędem fantazji, niech jej pozwoli pobujać, a niezawodnie przynajmniej kompozycja więcej będzie budziła interesu — wykonanie, technika, to rzecz studjów i pracy.

Porzućmy teatr wojenny.

Pan Wyczółkowski dał „portret p. N.“, a choć artysta młody jeszcze, a może właśnie dla tego, żal mamy do niego, że tak skąpo zapoznaje nas z swemi pracami. Toż to właśnie epoka, w której powinno się pracować gorąco, z zapałem i wytrwałością, a owocem tego mogłoby być coś więcej, jak jeden portret. Artysta zamieszkały we Lwowie, a tak mało dba o naszą wystawę; niechże potem nikt się nie żali ani na towarzystwo, ani na publiczność, jeśli nie znają artysty, bo sam nie dał się poznać z prac swoich. Przepraszamy za tę uwagę, ale publiczność nie może zachodzić do pracowni, ani tem mniej sądzić artystę z dzieł niewykonanych dotąd — trzeba się dać poznać, potem często przypominać, a z pewnością do żalów mniej będzie powodów. Portret p. W. ma tę ważną zaletę, że zachowany w nim jest charakter indywidualny, że nie jest tylko kopją twarzy, lecz ma wyraz prawdy, w rysach i wzroku przebija się dusza. Obok tego nagromadził artysta nie mało błędów, które nie wiemy nawet jak mogły ujść uwagi bacznego oka. W postaci wyprostowanej panuje drewniana jakaś sztywność, którą koloryt tak jeszcze uwydatnia, że robi prawie wrażenie martwości. Zkąd się wziął ten koloryt ziemisty, trudnoby wytłumaczyć; czy artysta uczynił to dla oryginalności? Tej z pewnością nie osiągnie tą drogą. Przytem baczyć należy na dobór kolorów wprowadzanych w akcesorjach, bo z pewnością ani niezapominajki nie licują z tą twarzą, ani czerwona plama u dołu nie może sprawić harmonijnego wrażenia. W ogóle potrzebuje p. W. wiele jeszcze pracy, wiele studjów estetycznych, bo największy talent w rysunku nic nie nada, gdy się zapomina o całości, gdy w tej brak harmonji i piękna prawdziwego. (C. d. n.).

---

# „PAN TADEUSZ“ SŁOWACKIEGO.

NOTATKA.

*(Ciąg dalszy)*

Chcemy czytelnikom naszym podać świadectwo, jak wielką była żądza Słowackiego posiadania wpływów, równych wpływom Mickiewicza i jak mało w tej żądzy miłości własnej, która zawsze w zazdrości pospolitej, tak przeważnym jest czynnikiem...

W poznańskiej *Warcie* (r. VII, Nr. 355) mamy niedawno przedrukowany z autografu ustęp z „Pana Tadeusza“ Słowackiego, mamy zapowiedź ogłoszenia ustępów, świadczących, że próbował on obrabiać i myśl „Walenroda,“ (zdaje się dramatycznie.) Nie był tedy nasz niezrównany mistrz-szermierz, tak miernie dumny, aby chcieć na inne, niż Adam, pchnąć sztukę naszą tory, aby się porywać na stworzenie czegoś nonowego, czegoś, coby oryginalnością swoją zaćmiło wielkość przeciwnika; owszem, te same nawet bierze co i Mickiewicz tematy, z dziwnem zaparciem się siebie, uważa za słuszne je naśladować i przerabiać, nie wzdryga się przed myślą, że z tem jak szkolarz wyglądać może i jednego chce tylko, jedno mu tylko potrzebne — potrzebne mu podobne mickiewiczowskiemu władanie formą artystyczną, porównanie siły swej twórczości z jego twórczości potęgą, potrzebne mu jeno nie mniej obszerne dusz tysiącami władanie, jak to, które ma najczęściej arcyartystyczna poezja autora „PanaTadeusza...“

Ustęp ów przez „Wartę“ podany, wedle nas tak charakterystyczny faktem swego istnienia, dla pojęcia zapasów Juliusza z Adamem, jest niestety zbyt drobny, aby powziąć z niego przekonanie, cobyśmy mieli w literaturze naszej jeśliby „Pan Tadeusz“ był Słowackiego dziełem, albo gdyby jego upór w tych zapasach dał nam jeszcze jednego „Pana Tadeusza“ obok tego, jakiego już mamy. Nie dosyć też w tym urywku na to nawet, aby w przybliżeniu choćby zawyrokować, o ile po tych próbach mógł autor ich być zaspokojonym, na ile mógł być pewnym, że równym Mickiewiczowi będzie we wpływach na społeczność, jeżeli nie za życia, to potem, bo za życia tak bardzo pożądanego wpływu żadną nie mógł mieć miarą dla tego właśnie, że nie był bezbarwnym, że nie był dla wszystkich jednakowo smakowitym, że przynajmniej tyle musiał ku sobie podnosić nienawiści, ile jej miał w sobie dla wrogów... Musiał on na „popularności“ tracić, bo wszelką powszedniość, wszelkie zacofanie i wstecznictwo, i martwotę, i brzydotę społeczną gryzł żrąco-gorzko, tak gorżko, że mu się szarpnąć z boleści musiała, że w pierwszej chwili tego bólu zbawiennego ożywczego, nie mogła mu głośnego nie rzucić przekleństwa; ale w tem właśnie jego potęga, jego szermierstwa zadanie, w tem wszystko, co go tak bardzo sympatycznym robi i tak bardzo ważnym w dziejach naszych.

Urywku więc owego za mało dla obszerniejszych wywodów, tem niemniej jest on bardzo ciekawy i tak niekiedy piękny, że słów kilka zawsze mu się należy, że stosowna to i owo z niego podać, dodawszy uwag parę, głównie, niestety, „estetycznej“ natury, bo to tylko moment z walki o doskonałość formy, moment z wysiłków o jaknajświetniejsze tej formy oszlifowanie.

«Wielkiemi gromadami . . . . . . . . . .*) do sieni
Wchodzą strzynadle złote i gile w czerwieni,
A nawet ów dziw lasu tak rzakdko widziany,
Halcyon — a na Litwie zimorodkiem zwany —
Który czasem strzelcowi pokaże się w borach
Przez mgłę gałązek — niby w anioła kolorach
Nad zwierciadłami *przełomki* **) — piękny i błyszczący,
Jak anioł w równi złote skrzydła trzymający —
Nawet ów ptak, pięknością zaklęty i dziki,
Zabłąkał się i nad domu zleciał gołębniki,
A potem nad sadzawki w ogrodzie kopane,
Gdzie leszcze, karpie, pstrągi pięknie malowane,
Przeniósł się . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . *)
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . Smętne wrony
Zaludniły pdwórze, obozem się mieszczą
W topolach — gdzie pod wieczór zwichrzają się, wrzeszczą
I pod zorze gną czarną drzew obdartych głowę —
*Wojski* mówi — że wiodą swe sprawy sejmowe.»

* * *

Ów to dwór *Soplicowo*, gdzie historja nasza
Odbyła się pod tchnieniem Boga-Boreasza,
Inne wdział szaty... twarzy zupełnie odmienił —
Ów las topoli już się więcej nie zielenił.
Dziedziniec, gdzie bławatki, cykorje i maki
Barwiły się, jak indyjskich szalów szlaki —
Teraz biały... wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki — świeżo deptane — czernieją
Od folwarków do domu — od stodół do gumien,
Wszystko smętne... a domy stoją, nakształt trumien,
Na podwalinach...
...Wszystko zamarło od czasu.
Zdaleka ciemna wstęga sosnowego lasu
Ściemniała — widać przez las błękit bitej drogi,
Wiatr przez nią leci — sosny, jak litewskie bogi,
Chwieją się, jodły siedzą śniegiem przywalone,
Gdzieniegdzie drewka ścięte, jak cegły czerwone,
Poukładane w stosy... inne do trójnogów
Podobne, jak ołtarze dawnych Litwy bogów,
Czerwienią się po lesie, osmętnione mgłami
I sosen tak nakryte liśćmi, jak chmurami...»

Język przedźwięczny i silny, jędrny, niby stal kuta, niby ciosanie w granicie, jak u Juliusza zawsze... Prawie bezwątpienia nadaje się język taki więcej do czegoś tak kolosalnego i objętością i historycznem przeznaczeniem, jak epos, niż spokojny, do płynięcia szerokiej rzeki podobny, język mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“. Nadaje się on tu tembardziej, że nie jest, mimo podniosłość i jędrność swoją, rzucaniem się wulkanicznem, jak to często u Słowackiego bywa; owszem w spokoju epicznym nie ustępuje on opisom „ostatniego na Litwie zajazdu,“ majestatyczniejszy jest jeno, nie błyszczy, jak powierzchnia toczącej się wód masy, nie pryska jej kroplami tylko, a jakby stęża w kryształy każde to pryśnięcie i zbiera w ich oko promieni tęczowe barwy — nie wód jednostajnawo srebrzyste pędzi strugi, a wypełnia koryto swej pieśni samych tęcz rojowiskiem i z tytanicznym spokojem je faluje w przedziwne kolorów igranie...

Nadto jest on wielkim mistrzem słowa, nadto potężnie włada językiem, nadto przeświadczony o błyskawicznym efekcie przy każdem swej ojczystej mowy zażyciu, aby mógł kiedykolwiek mgławszy, prostszy choć trochę, nie tak piorunowo bijący w oczy, stworzyć obraz lub obrazek; prędzej w dziwaczność wpadnie, poliszynellowato przesadzi, niż się zgodzi tę wybitną cechę swej formy poetyckiej bodaj na chwilę przysłonić... Zresztą te nie nowe, to znane w nim oddawna.

Wyobraźni żywość i bystrość w tym urywku także niezmiernie porywająca; stawia on przed

---

*) Miejsce w rękopismie nieczytelne.

**) *Przełomka* — prowincjonalizm, tyle, co przerębel w lodzie, ale z naturalnego lodu załamania się, a nie ręką ludzką sporządzony. Wiadomo, że zimorodek na zimę od nas nie odlatuje i sadowi się zawsze nad wodami.

*) Opuściliśmy tu ustęp oczywiście niewykończony, a więc w początku swoim przynajmniej tem niewykończeniem rażący:
«Przeniósł się...
Wojski kazał powpuszczać... ów ptak z jasnym dziobem
Poleciał — i bił ryby dziobem, jak sztyletem...
Słowem wszystko, jak gdyby szukało uchrony
U człowieka... ciągnęło z lasów...»

oczy czytelnika dziwnie obszerne obrazy i, co w nich najpiękniejsza, aż za pełne akcji; wszystko w nich żyje, porusza się, odzywa, woła, nic nie pozostaje w spoczynku, chociażby nie było w nich ani jednej istoty żywej; zmartwiałego przyrodzenia opisanie tak się u niego porusza nieledwie, jak otoczenie Zosi, karmiącej ptactwo w ogródku... Nie może u niego *droga błękitnieć tylko przez las,* jeno musi on bodaj wiatru na na niej rzucić powiew; *wstęga lasu* nie jedynie *ściemniała,* choć i tak już ciemna, ale wnet się *jodeł chwieje* szczytami; jeśle na chwilę ucichł, malując *siedzące sosny,* wnet je musiał *śniegiem przywalić* i właśnie je *posadził* nie dla rymu, ale dla tego, by je potężnie przywalić, a nie przyprószyć tylko zlekka i delikatnie; obraz już mu zamiera, kiedy *ściął drewka i w stosy złożył, i trójnogom bogów Litwy podobnemi uczynił,* ale wnet nie rad z tego, wnet *jak cegły je poczerwienił,* wnet sypnął *sosen liśćmi i nakrył jak chmurą...* I mimo to wszystko, raz użytego porównania *jodeł do bogów Litwy* nie przypomniał, rozszerzył je, stworzył z niego całkowity obraz w obrazie, bo bogom owym z *drewek ściętych* ołtarze wystawił... A każdy szczegół obrazu tak mu żywo przed okiem wyobraźni staje, tak oczywista, iż widzi, niby na jawie, w całości to wszystko, co opisuje, że nawet chwyta harmonię barw stworzonego obrazu, że nie pozwoli, by *drewka jak cegły czerwone* rażąco skoczyły ci do oka ze śnieżystej kolorytu bieli, jeno kontrast złagodzi... czerwień *osmętni mgłami...*

Czasem znowuż, gdzie ma sposobność, gdzie może, dwa jednocześnie poplącze obrazy i stwarza kontrasty prawdziwie rozkoszne swoją świetnością:

> «Ów las topoli już się więcej nie zielenił.
> Dziedziniec, gdzie bławatki, cykorje i maki,
> Barwiły się, jak indyjskich szalów szlaki —
> Teraz biały...»

Jest to taki kontrastu poetyckiego klejnot, że o lepszy trudno doprawdy, że w Mickiewiczowym „Panu Tadeuszu“ nie wiele takich — może kilka tylko — może żadnego równej siły! Słowacki sam może przewybornie czuje, że *salto mortale* od barwnych *szlaków indyjskiego szalu* do śniegów bieli, wprawić musi w zdumienie, że zrobi wrażenie tak silne i niespodziankowe, iż nie będziesz wiedział, zkąd się to wzięło, iż ci nie wystarczy zapowiedzi, jako *dwór Soplicowo inne wdział szaty i twarzy odmienił;* więc czując to, wyobraźni twojej pomaga, więc *zasypuje wczorajszą zamiecią* przepaść między dwu okresami czasu, jak roztworzył, aby zieleń topoli i jaskrawość bławatka albo maku zestawić z połyskiem śniegowego puchu... Skoro zaś powiedział, jak owa białość z *wczorajszej* wyrosła zamieci, już mu potrzebną nie jest, już po efekcie, więc *depcze* sobie spokojnie na śniegu *czarne ścieżki i depcze* ich wiele, bardzo wiele, od *folwarków do dworu — od stodół do gumien,* jakby naigrawając się z karłowatości twej wyobraźni, jakby gardząc twojem zdziwieniem, jakby się dziwiąc, żeś w równą śniegu uwierzył białość i jak on, odrazu na niej ścieżek nie dojrzał *czarnych!...*

Co wszakże najgłówniej ustępowi temu życia i siły nadaje, to stosunkowo nieznaczna porównań ilość, to obrazowanie bez porównań prawie które tak tłumnie w opisaniach swoich Mickiewicz gromadzi, że wspomnimy tylko jeden z najmisterniejszych jego opisów — opis warzywnego ogrodu, lub dziwnie malownicze grzybów wyliczanie.

Poetyczność w powołanym ustępie leży nie w bystrości wyszukiwania podobieństw, ale w obfitości nasuwanych wyobrażeń i niezmiernej szybkości przemiany akcji, albo nasuniętych przed chwilą wyobrażeń odsuwaniu, albo stawianiu ich w rozmaitej postaci, niby stron kilku jednej i tej samej rzeczy malowaniu, cobyśmy nazwali perspektywą poetyczną. Co się tej perspektywy z innego znów względu dotyczy, to Mickiewicz raczej podobny do mistrzów włoskiej szkoły malarstwa, która przedmiot w oddaleniu rzucony, mniejszy robi, ale równie starannie go wykończa, jak i ten, który na pierwszym sadza planie; Słowacki zaś, co odleglejsze, przymgławia, mniej wyraźnie uwydatnia, jak to perspektywa powietrzna na nowszych czyni płótnach, ztąd też u niego plastyczność bodaj czy nie większa, niż u Mickiewicza. Na ustępie powołanym przewybornie dostrzedz to można — jeśli porównać uważnie opis dworu czy dziedzińca z drogą i lasem, tutaj i *mak* i *bławatek* dostrzeżesz i śnieg widzisz albo biały tylko, albo ścieżkami poczerniony — słowem wszystko tu prawie tak ma być wyraźne, jak *indyjskiego szalu szlaki,* ale droga już w tym samym wybita śniegu, co ścieżki na dziedzińcu, ani bieli się jak on, ani jak ścieżki owe czerni, jeno *błękitnieje,* wszystko tam *ciemne* lub *ściemniałe, osmętnione mgłami,* bez kontrastów mocnych, bez rysów nadto ostrych i nadto kolorytem bijących w oczy... Zgoła jest to malowanie takie, jakie nam wystarcza na płótnach, za bardzo udatne okrzykniętych przez malarską krytykę, jak na szkic zaś, jak na próby niewykończone malowania, słowem, jest ono aż nadto pospolite...

(Dokończenie nastąpi.)

---

# Wiadomości z kraju i ze świata.

## Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Prof. dr. Gustaw Roszkowski wydał w Krakowie w oddzielnej odbitce obszerne studjum, p. t. „O Oxfordzkim projekcie prawa wojny lądowej i morskiej, w porównaniu z prawem francuskiem, holenderskiem i rosyjskiem, oraz z deklaracją brukselską“. Praca ta drukowaną była w b. „Muzeum“ krakowskiem

*** P. Wincenty Stroka, profesor gimnazjum św. Anny w Krakowie, przetłómaczył na język niemiecki opowiadanie poetyczne Zyg. Krasińskiego p. t. „Pokusa“.

*** P. Alfred Szczepański napisał w języku francuskim wrażenia podróży, p. t. „Sur le Danube et la Save“. Książeczka ta wyszła we Wiedniu, nakładem Br. Wołowskiego, redaktora „Messager de Vienne.“

*** W Krakowie wyszła broszura polityczna p. t. „Niemcy czy Moskale.“

*** „Czas“ podnosi myśl zakupienia drogą ofiar publicznych najnowszego *capo d'opera* Matejki „Hołd pruski“ i umieszczenia go w muzeum sztuki w Sukiennicach krakowskich.

*** Z Krakowa donoszą:

„Jak wiadomo pamiątki po Szopenie posiada w największej ilości księżna Aleksandrowa Czartoryska w Krakowie, o której powiedziano, że „po zgonie Szopena umiała zatrzymać na ziemi wdzięk tonów mistrza swojego“...

Owe zabytki właśnie oddaje księżna wspaniałomyślnie do muzeum Czartoryskich w starożytnym grodzie, tworząc tam osobne *Szopenianum,* do którego zapewne i reszta pamiątek po wielkim kompozytorze zapewne się zgromadzi.

Ani wątpić, że tak się stanie, gdyż księżna robi więcej jak początek, oddając wszystko co posiada: biusta, portrety, nuty, listy, rękopisy itd.

Muzeum Czartoryskich otwarte jest dla użytku publicznego, dar więc ks. Aleksandrowej uważać można za ofiarę dla ogółu, za spełniony projekt wielkiej doniosłości.

*Szopenianum* otwarte będzie w pierwszych dniach września — lokal jest już przygotowany“.

*** Obok 40-tu nieśmiertelnych mężów wkrótce mieć będziemy w Paryżu dwadzieścia nieśmiertelnych niewiast...

Panna Hubertyna Auclert zaprojektowała utworzenie akademji płci żeńskiej, złożonej z dwudziestu członków wybieranych na początek przez komitet pięciu albo sześciu autorek, literatek, a przedewszystkiem mówczyń, na których czele stoją autorka projektu i sławna Louise Michel.

Każda z członków żeńskiej akademji francuskiej otrzymywać będzie pensji rocznej 1,500 fr., fundusze na ten wydatek zbierane będą za pomocą koncertów, widowisk teatralnych, konferencyj i t. p.

Czy dla języka francuskiego można się spodziewać jakich ulepszeń z tej nowej akademii, tego nie wiemy, ale to pewna, że dwadzieścia języków nie będzie tam próżnowało...

## Społeczne i ekonomiczne.

*** *Konsumcja tytoniu.* Dziennik *Moniteur de la Brasserie* podaje ciekawe statystyczne dane o konsumcji tytoniu na świecie, a szczególnie we Francji. Ilość zużywanego tego narkotyku, wynosi rocznie na głowę:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| W Stanach Zjednoczonych | funtów | 7 | łutów | 16 |
| W Hollandji | „ | 7 | „ | — |
| W Belgji | „ | 6 | „ | 8 |
| W Szwajcarji | „ | 5 | „ | 20 |
| W Austro-Węgrzech | „ | 4 | „ | 24 |
| W Niemczech | „ | 4 | „ | 24 |
| W Szwecji | „ | 3 | „ | — |
| W Rossji | „ | 2 | „ | 8 |
| We Francji | „ | 2 | „ | 5 |
| We Włoszech | „ | 1 | „ | 25 |
| W Rumunji | „ | — | „ | 16 |
| W Finlandji i Danji | „ | — | „ | 8 |

*** Pomyłka drukarska.

Jak wielkie wydarzają się w Ameryce błędy drukarskie, poświadcza następująca próbka z dziennika amerykańskiego wyjęta.

„W ostatnim numerze naszego dziennika nazwaliśmy wielce szanownego Mr. Mac Noodels „demagogiem bez zasad.“

Miało być: „patrjotą z przekonania.“

Wielki brat bardzo cenionego Mr. Mac Noodels przybył dzisiaj do naszej redakcji z potężnym kijem z gałką ołowianą i zwrócił naszą uwagę na ten przykry błąd drukarski, który sprostować uważamy sobie za miły obowiązek.“

---



Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.